

Stanisław Lem

Czy kapitan Nemo był wyzyskiwaczem?

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (11), 195-197

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Korespondencja

Czy kapitan Nemo był wyzyskiwaczem?

Drogi Panie Redaktorze,

nie przystoi świetnym „Tekstom” najmniejsze nawet bałamuctwo w metodzie krytyki, lecz się go Redakcja w pomarańczowym (siódmym) numerze nie ustrzegła. By rzecz naprawić, muszę listem tym wyprzeć się obrony Lema-beletrysty przed Lemem-krytykiem, którą Andrzej Zgorzelski przedstawił w artykule *O ucieczce Lema — z żalem*.

P. Zgorzelski zarzucił mi jako krytykowi ciężki grzech, zwany *fallatio intentionalis*. Powiedział bowiem, że deprecjonowałem własny *Powrót z gwiazd*, porównując intencję, z jaką siadłem do tej książki, z jej definitywną realizacją. Zgoda na to, że krytyki nie wolno opierać na zestawieniu tekstu z tym, co na jego temat autor sobie myślał, lecz ja w *Fantastyce i futurologii* fatalność tę ominąłem. Nie moje intencje autorskie, w książce nieobecne, zestawiałem z jej tekstem, lecz pokazałem niespójność *tekstowych* założeń i konkluzji.

A oto dowód, iż o autorskich intencjach, rozchodzących się z tekstem dzieła, wolno mówić bez wykraczania poza owo dzieło, czyli nie wszczynając śledztwa co do zamiarów, jakie autorowi przyświecały i pozostały w jego głowie. Klasyczna powieść J. Verne'a *20 000 mil podmorskiej żeglugi* prezentuje bohatera, kapitana Nemo, jako romantycznie posępnego, ale i postępowego mściciela — rzeźnika sprawy ludów, ciemnionych przez potęgę dziewiętnastowieczne. Jakoż powieść głosi, że kapitan ów był samozwańcym, lecz prawnym sędzią kolonizatorów, bo w imię sprawiedliwości zatopił wojenny statek angielski, bo wspierał greckich powstańców złotem, dobywanym z morskiego dna, a też, że był nieposzlakowanym druhem i przywódcą swej dzielnej załogi — jak przystało ryerczowi słusznej sprawy. Wolno więc rzec, iż w intencji Verne'a leżało takie właśnie odmalowanie bohatera. Zarazem

można, w oparciu o tekst, ustalić, iż tenże kapitan Nemo był satrapą i dręczycielem swej załogi oraz bezideowym rozbójnikiem — piratem. Dowód taki przeprowadził H. W. Starr w zamieszczonym w „Leaves from the Copper Beach” artykule „A Submersible Subterfuge or Proof Impossitive” (w roku 1959). Jakoż, zestawiając to, co J. Verne napisał w jednych partiach książki z tym, co mu się napisało w innych, krytyk zdemaskował kapitana Nemo, albowiem ujawnił, że gdy dodać od siebie wymiary pomieszczeń „Nautilusa”, łączyć ta, po odjęciu przestrzeni, zajętej przez maszynownię oraz osobiste kajuty kapitana Nemo (salon, sypialnia, biblioteka), pozostawia do dyspozycji całej załodze kłitkę wielkości 16 stóp na 22. Można ustalić, iż załoga liczyła co najmniej 24 ludzi. Jeśli tedy umieścić ją nawet na potrójnie spiętrzonych kojach, pozostanie jej, na przestrzeń życiową, 10 × 16 stóp, obszar, na którym nieszczęśni podwładni kapitana Nemo musieli gnieść się stojąc — w toku wieloletnich podmorskich wojaży! Tak nędzny metraż musiał sprawiać im dolegliwości, których pan kapitan był na pewno świadom, bo to się działo pod jego bokiem — za progiem rozległych salonów i bibliotek, do których, *nota bene* (tekst jest tu jednoznaczny), nigdy żaden marynarz nie miał wstępu! Starr udowodnił też, iż kapitan, mówiąc profesorowi Aronnax, jakoby zatopił okręt Anglików, bo ich nienawidził jako imperialistów i kolonizatorów (Nemo był księciem hinduskim) — okłamał francuskiego naturalistę. Flagi okrętu bowiem, co się pojawił jako punkt na widnokregu, nie można rozpoznać przez okrętową lornetę; rozdzielczość szkieł zezwala najwyżej na ustalenie, że to jest okręt *duży*. Nemo był więc zwyczajnym piratem, a nie rzecznikiem nadosobistej zemsty.

Cóż czynić z tymi fantami? Analiza Starra, niezaprzeczalnie poprawna, bo nie wykraczająca poza tekst, jest, rozumie się, niepoważna: Verne *chciał* uczynić bohatera postacią szlachetną, więc *nie chciał* pokazać go jako kłamcę, dręczyciela własnej załogi oraz bandytę-korsarza, topiącego każdy — byle *wielki* — okręt. Niewątpliwie tedy Verne napisał ustępy uwznioślające bohatera z rozmysłem świadomym, czyli intencjonalnie, a te drugie, których implikacją jest kapitańska nikczemność, napisały mu się niechcący, bo, sądzić trzeba, nie dokonywał pomiarów metrażu mieszkalnego ani nie dobiegał rozdzielczości czy krotności lornet okrętowych. Niechybnie te arytmetyczno-optyczne zabiegi nie przyszły mu do głowy. Tak więc teza Starra, jakoby Verne działał przewrotnie i szlachetną powierzchownością kapitana Nemo mamił czytelników, kryjąc głębiej w tekście jego „prawdziwą”, podłą naturę, jest ironiczna. Jeśli nie damy jej wiary, znaczy to, iż umiemy różnić pomiędzy tym, co w tekście intencjonalnie autorskie a tym, co nie-intencjonalne, jako skutek pisarskich niedopatrzeń i lapsusów.

Powieść Verne’a jest przypadkiem skrajnie łatwym dla krytyka. Może on tylko ustalić, że pisarz nie zatroszczył się o metraż, przysługujący załodze, pod wpływem norm swego czasu, podług których marynarzy traktowano jak służbę, pojawiającą się, by zrobić swoje a potem znikającą — zaczem nikt nie dbał o jej bytowe warunki.

Powrót z gwiazd to przypadek nieco inny: niedomyślenia do końca konkluzji, co wynikają z fantastycznej hipotezy wyjściowej, a nie tylko — pominięcia

wtórnych narracyjnych implikacji. Lecz i ta książka jedno *chce* głosić, a drugie głosi faktycznie. Betryzacja, czyli odjęcie jednostkom agresywnych popędów, nie mogła obrócić Ziemi w utemperowaną Arkadię, a nie mogła, ponieważ ludzie wyrządzają ludziom krzywdy powodowani strukturą stosunków zbiorowych częściej aniżeli indywidualną złością, schowaną w charakterach. Utwór twierdzi, że betryzacja udobruchała ludzkość aż zanadto, bo zepchnęła ją w pasywny hedonizm, podczas kiedy taki zabieg raczej za mało mógłby sprawić. Jako rzecznik fantastyki „realistycznej”, czyli dbającej o logiczną spójność i prawdopodobieństwo werystyczne świata przedstawionego, oskarżyłem książkę o fałszywe konkluzje z założenia betryzacyjnego — i do tej diagnozy ograniczyła się główna linia mego ataku. Opiera się ona na tekście, który jest niezborny, bo udaje, że z właściwych mu założeń startowych wynika to, co *de facto* nie wynika. Sprzeczność ta, tkwiąc w publicznej wersji dzieła, tym samym podlega osądowi krytycznemu.

Sytuacja, w której autor do jednego celu zmierza tekstem, a tak zwana logika wewnętrzna owego tekstu ciągnie w inną stronę, to rzecz w literaturze dobrze znana. Autor, wzięty w takie widły, poczyna zwykle manewrować, stawiać zasłony dymne, to jest, tuszuje fiasko wyjściowej koncepcji, idąc na kompromisy, od czego tekst słabnie w zborności lub sam sobie zaprzecza.

Omyłki Verne'a były marginalne, kilka poprawek usunęłoby jego przeoczenia „optyczno-arytmetyczne”, zdejmując odium ze świetlanego kapitana Nemo. Mojej książki poprawkami lokalnymi uratować nie można: więc i błąd konstrukcji w niej poważniejszy, i sprawa, przez to, bardziej godna skrytykowania. Tym bardziej, że kategorię intencjonalności podano dziś w niesławę, niesłusznie, jak próbowałem ukazać w tym liście. Zasługuje ona na rehabilitację — przy zachowaniu, zapewne, zdroworozsądkowego umiaru. Pograżam więc uparcie Lema-autora przeciw Lemowi-krytykowi nie dla chwały tego drugiego, lecz przez wzgląd na dziecko, którego z kąpielą wylewać nie należy.

Kraków, w maju 1973

Stanisław Lem